

— Nie wiem — brzmiała niedbala odpowiedź oskarżonego.

— Dlaczego pan wyjeżdżał konno?

— Nie wiem.

— Nie przypomina pan sobie, dokąd pan jeździł?

— Nie!

— Jednak pan nie może zaprzeczyć, że pan wyjeżdżał?

— Ani zaprzeczam, ani przyznaję! Nie wiem o niczym!

— Czy rewolwer znaleziony przy zwłokach kapłana de Limandoux należy do pana?

— Tak!

— Poczem go pan poznaje?

— Po jego numerze!

— Jaki to był numer?

— 103.000.

— A więc panu pamięć wróciła?

— Pamiętam numer mojego rewolweru, oto wszystko.

— I nie może pan sobie przypomnieć, gdzie się pan udawał tej nocy?

— Nie.

— Takie zapominania są szkodliwe!

— Być może.

— Trwa więc pan dalej w twierdzeniu, że nie pan jest zabójcą kapłana de Limandoux?

— Tak!

Ta odpowiedź wzburzyła zupełnie sędziego Giroux. Zapanował jeenak nad sobą, odetchnął głęboko i spojrzawszy surowo na oskarżonego ciągnął dalej:

— Dobrze! Bardzo dobrze! Przejdziemy więc do innego systemu pytań! Czy wyjeżdżał pan często w nocy konno?

— Nie wiem.

— Czy wyjeżdżał pan w ostatni wtorek?

— Nie przypominam sobie.

— Jednakże, pomimo złej pamięci wie pan co się stało we wtorek wieczorem?

— Nie.

— Nie? To ciekawe!

— A tak! dosyć!

— A więc ja panu powiem. We wtorek wieczorem pan senator Polvri, jego żona i pewien nieznajomy, zostali zamordowani w swojej willi w Rainey. Ta willa znajduje się w sąsiedztwie

willi pana. Morderca lub też mordercy mieli ze sobą browning.

Oskarżony nie odpowiadał. Popatrzył tylko prosto w oczy sędziemu.

— O! — ciągnął dalej, coraz więcej denerwując się pan Giroux — wiemy, że pan wychodził we wtorek wieczorem z domu i właśnie we wtorek wieczorem miało miejsce to potrójne morderstwo. Poza tym wychodził pan jeszcze przedwczoraj z domu i przedwczoraj także dokonano morderstwa.

— Czy pan wie, że to są fakta bardzo obciążające pana?

— Doprawdy? — zapytał z zainteresowaniem Jerzy Dambouse.

— Panie Dambouse, porozumiemy się! — zawołał sędzia Giroux. — Nie byłoby w tem nic obciążającego, gdyby pan nareszcie zechciał powiedzieć, gdzie się pan udawał i mógł nam wykazać swoje alibi. Zreasumuję więc wszystkie moje pierwotne pytania.

— Zupełnie niepotrzebnie — przerwał oskarżony.

(Ciąg dalszy nastąpi).

T. KAN.

I WYSZEDŁ

I.

— Więc znowu scena małżeńska?

— Nie! coś stokroć gorszego, bo cię opuszczam na zawsze.

— A niech się to już raz skończy. Mam dość wszystkiego.

— Prócz kart i picia!

— A żebyś wiedziała, że mi nic innego nie pozostaje.

— Mój Boże! jakże ślepa byłam przed pół rokiem. Mogłam być szczęśliwą przy boku zanego, pocziwego człowieka.

— Tak, właśnie, ja ci świat zamknęłam. Nie znałaś mnie może?

— Cztery lata cię nie widziałam. Zresztą po co wspominać. Odchodzę spokojna. Mój posag złożysz w banku na moje imię.

II.

Noc letnia i dużo gwiazd na niebie.

Usiadł w głębokim fotelu na tarasie trzechpiętrowego domu. Na stoliku lampa z abażurem, flaszka i kieliszek. Dokoła niczem niezmaczona cisza.

Rozwinął ostrożnie luźne kartki, zapisane nieznaniem mu pismem.

Otrzymał je przed tygodniem. Nie wiedział, kto je pisał i skąd pochodzą. Stampilia zamazana, po znaczku pocztowym tylko ślad brudny. List znalazł w skrzynce, gdy po północy wracał do mieszkania. To go zdziwiło, bo wychodząc po dziesiątej wieczór, zaglądał do skrzynki. Była pusta. Pytał dozorcę domu, czy w międzyczasie otwierał bramę. Zaprzeczył. Trzęsącą ręką ułożył kartki i zaczął czytać:

„Notuję garść wrażeń o nim, a nie wiem dlaczego, o poproście mam wrażenie, że muszę. To był dziwny człowiek. Właściwie powinno było mu być dobrze, a jednak...

„Dłuższy czas go nie widziałem. Ktoś mi wspominał, że wyjechał do Włoch w rozpacz po zerwaniu z niedoszlą narzeczoną. Nie pożegnał się przed wyjazdem. Dzikus.

„Dziś mi doniesiono, że leży w klinice. Przy wysiadaniu z pociągu wpadł pod wóz i doznał zgniecenia nogi w udzie. Też szczęście! Całą podróż odbył bez wypadku i tak szkaradnie wycieczkę zakończył. Muszę go odwiedzić.

„Żle. Już mi się to nie podobało, że przy wejściu do szpitala nakazywano mi mało mówić i wybierać spokojne tematy.

Szara godzina, zapach szpitalny, system celkowy — wszystko to nastrajało mnie minorowo tak, że gdy wszedłem do pokoju chorego, miałem chętkę cofnąć się.

Zapóźno, spostrzegł mnie i poznał.

— Wiedziałem, że przyjdiesz. Siadaj.

— Jakże się czujesz?

— Nie mówmy o tem. Muszę ci coś o sobie powiedzieć.

— Tylko nie denerwuj się. Zajrzę jutro, pojutrze, to mi opowiesz.

— Wolę dziś. Widzisz, mój drogi, bo ja nie byłem szczęśliwy. Odkąd sięgam pamięcią, zawsze w poprzek stało jakieś „ale“. Tęskniłem do ludzi, a byłem samotny. Należałem do rzędu porządnych i uczciwych. Ta pocziwość przesładowała mnie na każdym niemal kroku. Kobiety od pierwszego spotkania zapewniały mnie stałe, że niewątpliwie będziemy niedługo dobrymi przyjaciółmi.

Pocziwy dla mężczyzn, przyjaciel dla kobiet! To straszne wprost cnoty, powinienem je dawno przekląć, gdyby nie to, że właśnie jestem pocziwy. Mężczyźni otwierali mi serca, kobiety nie miały przedemną tajemnic, nawet panienki spowiadały mi się ze swych miłosnych uczuć, ku innemu naturalnie. Raz tylko było inaczej. Poznałem młodą panienkę. Sprzyjała mi widocznie, miałem tego liczne dowody. Zakochałem się po raz pierwszy w życiu i zdawało mi się, że byłem kochany. Na nieszczęście przyjechał kuzyn, którego nie widziałem od czterech lat i zapomniała o mnie. Otrzymałem liścik z zapewnieniami dożgonnej przyjaźni... a ja kochałem tak bardzo...

— Przestań. Męczysz się. Lecz co to? Siostra — on zemsta!

— Nie mogłem zapomnieć, więc postanowiłem wyjechać do Włoch, dokąd zawsze tęskniłem. Przeklęty pomysł. Wyjechałem wieczornym kurierem. Wsiadłem do przedziału II. klasy. Było tylko dwie osoby. Półmrok.

— Panu to nie przeszkadza?

— Proszę bardzo.

— Bo to nasza podróż poślubna. Przypomniało mi się wszystko i całą noc oka nie zmrugałem.

Zmęczony zajeżdżam rano do hotelu. W dzień zwiedzałem miasto. Chciałem się przespać i na jutro jechać dalej. Coś mnie jednak tknęło i pytam portyera:

— Kto zajął sąsiedni numer?

— Młode małżeństwo...

I znowu noc spędziłem w wagonie. Znekany miałem jednak chwilę prawdziwego odpoczynku na stałku w cudną noc z Tryestu do Wenecji. Spędziłem ją na leżaku na górnym pokładzie. Obok spoczywała jakaś młoda kobieta. Nie przemówiliśmy do siebie ani słowa — lecz już sama jej bliskość dziwnie koła moje nerwy — nie czułem się samotny. Zdawało mi się, że moja sąsiadka jest też zadowolona z mego niemego towarzysztwa.

Miałem zamiar rankiem przedstawić się i ewentualnie wspólnie zwiedzić boską Wenecję.

W tej myśli zeszedłem rano do bufetu na wspólną obrzydliwą kawę. Mojej nieznajomej nie było.

Wracam na pokład w chwili, gdy jakiś podłatusiasty mężczyzna tuli do siebie moją nieznajomą, pokazując jej w oddali we wschodzącym słońcu kąpiącą się Kampanillę wenecką.

Na drugi dzień wieczór były wyścigi na kanale głównym i serenada o jedenastej w nocy. Wśród tysiąca gondoli, jakie wyjechały na kanał, moja była najcichsza, byłem sam. Miarowy plusk wody — miliony różnokolorowych światełek, odbijających się w wodzie — dźwięk mandolin, hałaśliwych orkiestr i śpiewy, gwar i śmiechy, wprawiły mnie w rozpacz samotności, że zapłakałem jak dziecko.

Na Lido widok kąpiących drażnił mnie również, nadto cierpiałem na żołądek i raz po raz robiłem krótkie, ale za to szybkie wycieczki, w których znowu moja nieszczęsna samotność była mi bardzo na rękę.

Już miałem dość Wenecji. Jeszcze bardziej zdenerwowany wracałem do kraju.

W powrotnej drodze przysiadła się do mnie jakaś nieznajoma jejmość, trzepała bezustanku i zaczęła mi się narzucać z troskliwą opieką, gdy niebacznie wspominałem o swym stanie. Nieproszona opieka dla człowieka, który przyzwyczaił się do samotności, jest wynalazkiem z piekła. Nic dziwnego, że zdecydowałem się ulotnić niespostrzeżenie, skoro tylko stanęliśmy u celu. Dlatego też wyskoczyłem z pociągu zanim stanął, no i...

— Zmęczyleś się, cierpisz... Masz wypieki, gorączka wzrasta.

— To nic. Trzeba żebyś wszystko wiedział, bo ja ją dotąd kocham, jak szalenie. Żebyś chociaż wiedział, że jest szczęśliwą. Może... może... kręci mi się wszystko... szumi... dźwięczy...

— Siostra, siostra — stało się coś strasznego. — Siostra, ratunku!

III.

— Lampa ci już nie potrzebna — kartki porzuć. Wyszedłem do ciebie, by cię spytać, co z nią zrobił?

— Ja nic. To ona — ona winna. Sama odezła. Męczysz mnie. Litości!

— A tyś ją miał dla mnie? Zapomniałeś! Nie umiałeś być szczęśliwy i mnieś nie dał. A ona zamiast wybrać duszę wybrała ciało; bo ty nigdy duszy nie miał.

— Nieprawda!

— Więc szukajmy. Biorę twe serce. To niekształtny worek krwisty. Tylko go w dół cisnąć. I tu i tu nie ma. Same kawałki ciała. O! nogi, ręce, głowa, co się toczy po tarasie i o mur obija. I już cię nie ma. I nigdy cię nie będzie, już się w całość nigdy nie złączysz.

— Dlaczego, przez litosć!

— Duszy ci brak. Patrz na mnie, ja wyszedłem z siebie i jestem i trwać będę wieki.

IV.

— Najdroższa żoneczko! Wracaj natychmiast. Przebac mi i zapomnij, a ja ci najuroczyściej przysięgam, że się zmienię i poprawię. Ciebie jedyną kocham i kochać będę. Twój...